

I N M E M O R I A M

STUDIA POLONIJE
T. 21. Lublin 2000

KS. ZYGMUNT ZIELIŃSKI
Lublin

KS. EMIL ALTMAJER (1935-1999)

Zapewne znajdzie się ktoś, kto o Nim napisze więcej, sięgnie do korzeni mocno osadzonych w Lubelszczyźnie. Przodkowie przywędrowali może z Bawarii, na co wskazuje nazwisko. To jednak historia. Historią jest także już Jego praca tu, w Polsce i przede wszystkim w Ameryce, ściślej – w Nowym Jorku. Po wielu placówkach duszpasterskich, następnie studiach specjalistycznych i magisterium na KUL zanośli się na asystenturę. On wybrał w 1973 r. przygodę za Oceanem. Wielokrotnie mówił do mnie, a było to dawno, w 1986 r. i później, że wybiera się z powrotem do Polski; tęsknił do tej chwili. Każdy, kto znał Jego pracę w Polish Slavonic Center, najpierw na słynnym Green Point, następnie na Irving Place na Manhattanie, wreszcie w mniejszym biurze naprzeciw kościoła św. Stanisława na Mark's Place, wiedział, że jest to praca niewdzięczna i wyczerpująca. Program był wprawdzie municypalny, a zatem były środki, ale Emil miał do czynienia z Polakami, którzy w Nowym Jorku znaleźli się na bruku. Po prostu wyklóćanie się najpierw z nimi, a potem z urzędnikiem w magistracie. Wiele gorzkich słów musiał przełknąć, bo tam nie oszczędzano Jego rodaków. Kto po raz pierwszy znalazł się w biurze ks. Emila, był zdumiony Jego dziwną niekonsekwencją; bowiem po cierpliwym tłumaczeniu komuś, że jego sprawa jest beznadziejna, wstawał, brał nieodłączną teczkę i szedł z delikwentem załatwiać jego sprawę. Pytany, dlaczego to robi, odpowiadał po prostu: a co mam robić, przecież on czy ona jest na bruku, nie ma ani co jeść, ani gdzie mieszkać. Oczywiście miał wrogów, bo nie znosił nabieraczy, a tych przychodziły całe gromady.

Przeważnie jednak i im podawał rękę, bo na tym właśnie polega miłosierdzie, iż stale trzeba ryzykować, choć wiadomo, co się ryzykuje.

Miał też swoją kartę w kościele św. Cyryla i Metodego na Green Point. I w innych kościołach, gdzie gromadzili się Polacy. Nie potrafił odmówić, gdy Go proszono o pomoc. A chyba i lubił to. W końcu to była ta praca, dla której 14 grudnia 1958 r. został kapłanem.

Był człowiekiem stale przez wielu poszukiwanym, a stał na świeczniku, zatem nie mógł po prostu umknąć. Gdyby liczył wszystkie swoje jazdy z i na lotnisko i następnie z paszportem, gdzieś aż do sąsiedniego stanu, byłaby to gruba księga. A bywali tacy, którzy gniewali się, gdy nie chciał ich obwozić po Nowym Jorku. A przecież często komuś płacił z własnej kieszeni, by go w tym zastąpił. To było jednak za mało. A iluż zawdzięczało Mu tanie lub darmowe kwatery, ilu pracę? Ilu zachowało za to wszystko choćby odrobinę wdzięczności w sercu?

Nie piszę tego na podstawie żadnych materiałów. Dość długo z bliska śledziłem Jego zmagania z pracą, z brakiem zdrowia, z niesfornymi ludźmi, z których grona bynajmniej się nie wykluczam.

Bóg, który rządzi także tymi naszymi małymi sprawami, nie pozwolił Go rozpieszczać za dobro, które czynił na lewo i prawo. Widocznie bilans Boży inne przewidział wyrównanie. Według naszej miary nie szedł na rozrachunek z pustymi rękami. Zabrakło Go jednak tam, gdzie biedni ludzie potrzebują nie słów otuchy, ale czasu. Tym bardziej winni pamiętać dobro wszyscy, którzy go doznali. Słowa tu napisane są niczym innym, jak serdeczną prośbą o to.

NIECH ODPOCZYWA W POKOJU